

Dekameron 2020: Laureaci (6): "Salceson"

"Salceson"

Natalia Soszyńska

Ten chłopak w śliwkowych spodniach jest tu znowu. Znowu siada na ławce, gapi się na zegar i czeka. Dziś ma brązową aktówkę, na pewno skaj, sto procent skaj, żadna skóra. Czasem jej nie ma, ale dziś ma. Poznaje go po krokach. Najpierw jest tak:

Pociąg regio "TUR" ze stacji Chojnice do stacji Gdynia Główna, przez stacje Sopot, Gdynia Orłowo wjedzie na tor pierwszy przy peronie pierwszym. Prosimy zachować ostrożność i nie zbliżać się do krawędzi peronu.

Potem skrzypnięcie drzwi, kroki i jest. W grzywce spadającej na oczy, chudy, w tych swoich spodniach. Siada na ławce, wyjmując kanapkę albo nie, ale teraz wyjmując i czeka. Czekając do czwartej rano, sprawdziłam nie raz nie dwa.

Jak jest zimno i ciemno to żal mi go. Nie jest to nikt mój bliski, czy coś, ale tak po ludzku mi go żal. Pewnie jeździ do pracy i musi wcześniej wstawać. Jeszcze wcześniej niż ja. Ja tu pracuję od siedmiu miesięcy i czterech dni i nie mam dzieci ani męża ani nic takiego i mogę wcześniej wstawać, ale on pewnie ma jakąś rodzinę. Jest zawsze czysty i zaspany.

Mam w pracy czas, żeby poprzyglądać się ludziom i co zauważyłam, to to, że o czwartej rano wszyscy wyglądają podobnie i są tak samo śpiący. Bogaci czy biedni, bezdomni i paniusie z banków co jadą na szkolenia. Ci, co mają wszystkie zęby i ci, co nie mają ani jednego. Wszyscy ziewają tak samo na dworcu Gdańsk Oliwa o czwartej nad ranem. Moja praca jest wymagająca i muszę być zawsze wyspana. Dlatego, jak zaczynam nocy, to mam za sobą dziesięć godzin snu, ani mniej, ani więcej. Przychodzę pieszo, bo mieszkam niedaleko, na ulicy Bora - Komorowskiego, w bloku numer szesnaście, w mieszkaniu z cyfrą dwadzieścia siedem.

Mieszkanie mam po babci, zostawiła mi je z kotem, o którego muszę dbać, choć wcale go nie lubię. Chciałam mieć blisko z pracy do domu i z domu do pracy, więc zatrudniłam się w okienku PKP na Dworcu Gdańsk Oliwa. Kot nazywa się Leon i nie ma jednej łapy. Moje zajęcie w pracy na tym polega, że sprzedaję podróżnym bilety, wyjaśniam o której odchodzą pociągi tam czy gdzie indziej i organizuję pracę naszego punktu. Odpowiadam między innymi za czajnik, tablicę korkową z ogłoszeniami i dbam o jukę co rośnie w doniczce na parapecie.

A ten chłopak zawsze o tej samej godzinie jest ze mną na dworcu i czeka do czwartej. Kusi mnie czasem, żeby przestawić zegar, ten co na samej górze wisi, bo ciekawe co on by wtedy zrobił, ten chłopak, ale za to jest murowana nagana od naczelnika z wpisem do akt i nawet nie dosięgnę tego zegara, choćbym stanęła na drabinie. Mam niecałe metr sześćdziesiąt wzrostu, też po babce, jak również mieszkanie i kota. Tyle.

Ale co to ja mówiłam, mówiłam, że ten chłopak w dziwnych sliwkowych spodniach jest tu znowu.

- Przepraszam, czy ma Pani chusteczki na sprzedaż?

To właśnie powiedział. Do mnie, przy okienku. Zawsze chciałam z nim porozmawiać, bardzo ciekawiło mnie to jego wyczekiwanie jak w zegarku szwarcwaldzkim, ale że mnie dziś zaskoczył to nie wiedziałam, co mówić i wszystkie pytania, jakie w głowie wcześniej odnotowałam, przepadły. Podparłam się tylko na łokciach, przechyliłam do okienka i powiedziałam powoli i wyraźnie do mikrofonu:

- Nie mam, nie prowadzę kiosku, tylko punkt sprzedaży biletów oraz informację PKP. Chusteczki kupisz w kiosku, jest zaraz za budynkiem, zapraszamy.

Spojrzał na mnie wzrokiem, odgarnął włosy z czoła. Pierwszy raz widziałam go z takiego bliska, bo jeszcze nie powiedziałam, że jestem krótkowidzem po ojcu i muszę nosić okulary, ale że dodają mi lat i kilogramów, to nie noszę. Tylko jak muszę a teraz nie musiałam. Oceniałam, że chłopak może mieć najwyżej szesnaście, siedemnaście lat.

- Kiosk otwierają o szóstej, proszę pani.

Gówniarz. Wiem, że o szóstej, w końcu to ja tu pracuję, ale chciałam być miła i pomocna jako pracownik PKP. Przechyliłam się znowu: □ No to się nie wysmarkasz do szóstej. Trudno. He, he, tak pewnie też nie mogę mówić, ale to gówniarz a ja nie mam chusteczek i jest trzydzieści dwie po trzeciej, poza nami żywej duszy na dworcu.

- Termos mi przepuszcza.

Rzeczywiście, zobaczyłam, jak z tej jego teczki ze skaju kapie herbata na posadzkę. Kap kap. Stara ta teczka, buty też miał wysłużone, choć równo podbite. □ - Chodź, wejdź o tymi drzwiami po lewej stronie, wytrzymaj ci teczkę. Nie możesz tak przecież iść do szkoły. □

- Dziękuję, ale ja nie idę do szkoły. □

- A dokąd idziesz? □

- Donikąd.

Też mi coś. Do kiosku na szóstą nie poczeka, ale donikąd to wstaje jak poparzony o czwartej. Ale jak powiedziałam a to mówię też be, więc wstałam i poszłam otworzyć mu drzwi. □

- Dziękuję, bardzo pani miła.

- Szybko, muszę wyrzucić wszystko, co jest w środku, bo nie mogą mi zamoknąć papiery.

Odsunęłam szklankę i książeczkę z sudoku, żeby miał miejsce gdzie wysypać te swoje rzeczy. Moje biurko nie jest wielkie, ale i on nie ma specjalnie zbyt wiele rzeczy w tej swojej teczce. Kilka kartek, latarkę, długopisy, dwie bułki w pazołtku i duży kawałek salcesonu. Dziwne to mi się wydało, ja lubię salceson, ale nie widziałam, żeby w takich dużych kawałkach go przewozić, ot tak, w teczce ze skaju. Był zawinięty w papier pergaminowy i ze względu na wodę w środku musiały rozpuścić się tusze w długopisach, bo salceson był niebieski i fioletowy, wyglądał jak wielki siniak. Dość odpychająco, a już na pewno nieapetycznie. □

- Salceson ci pofarbował od długopisów, lepiej go nie jedz. □

- No, widzę. I tak nie chciałem go jeść. Nie lubię salcesonu. □

- To po co ci taki kawał? Chyba z siedemset deko. □

- To rekwizyt.

Acha. Rekwizyt. Potarł dłonią o policzek, a że dłoń też była w tuszu to policzek zrobił się niebieski. Znalazłam w szufladzie rolkę papieru, podałam mu żeby się wytarł. Widziałam, że chyba nie jest mu dobrze w mojej stróżówce, dość ciasnej, przyznaję, czułam, że się mocno denerwuje i być może boi. Ja bardzo nie lubię, jak się mnie ludzie boją, bo mimo, że mam metr sześćdziesiąt niecałe, to często ze strachem na mnie patrzą. Odwróciłam wzrok i powiedziałam trochę do siebie: □

- Jak chcesz, to zrobię nam herbaty i poczekasz sobie na tę swoją czwartą u mnie. Mam dwa krzesła. Jak chcesz. Teczka wyschnie, ty się umyjesz. Jeszcze dwadzieścia siedem minut. Ale jak chcesz. Nie zmuszam.

Zastanawiał się chwilę, rozejrzał, zatrzymał wzrok na tablicy ogłoszeń, gdzie wisiał rozkład odjazdów pociągów ze stacji Gdańsk Oliwa, mój grafik, numery telefonów na taksówki i zdjęcie jednej młodej dziewczyny, co wracała z dyskoteki i do dzisiaj nie wróciła i całe miasto ją szuka a nawet więcej. □

- Dziękuję, chętnie napiję się z panią herbaty. Moja mi wyciekła. I trochę dziś zmarzłem.

Nastawiłam czajnik, wyciągnęłam dwie szklanki, te z ciemnego szkła, z uchem, moje ulubione do herbaty i napojów chłodnych, wrzuciłam jedną torebkę Sagi do szklanki. To też moja ulubiona herbata. Z jednej torebki czasem trzy herbaty wyjdą. Ta trzecia już może nie jest taka mocna, ale jak się doda cukru albo mleka to bardzo dobra.

Siadamy naprzeciwko siebie, z parującymi szklankami. Nie wiedziałam jak zacząć rozmowę, a jak nie wiem, to zawsze mówię pierwsze, co mi przychodzi na myśl: □

- Widzę cię tu czasami. To znaczy często. Zawsze o tej samej porze i w czwartki. Pierwsze czwartki miesiąca. W inne dni tygodnia nie. Co tu robisz? □

- Nie powiem pani. □

- Herbaty dostałeś, siedzisz czysto wygodnie to chyba możesz powiedzieć. Przecież ja nikomu dalej nic nie.

Znowu patrzy na mnie wzorkiem, zbliża szklankę do ust, upija i mówi:

- Do dziadka idę. □

- To bardzo ładnie, że idziesz, a czemu tak rano?

Wiedziała, że jest dziwny w tych swoich spodniach, z teczką i niebieskim salcesonem, ale zawsze lubię swoje dopytać. □

- Normalnie, dziadek tak wstaje. Umawiamy się na czwartą piętnaście u niego. □

- I co robicie? □

- Świcimy latarkami i jemy prowiant. □

- Czy ty mnie masz za durną? Dlaczego mnie kłamiesz?

Spurpurowiał, jak salceson. Grzywka zupełnie zakryła połowę twarzy, ale zauważyłam też, że ma oczy na mokrym miejscu. □

- Nie musisz mówić jak nie chcesz. Nie chciałam cię ukłuć i zadawać pytań. Nie denerwuj się.

Chcesz, to zdradzę ci sekret o Rumunie, co go tu pewnie czsami widzisz. Tym Rumunie bez nogi.

Spojrzał na mnie. □

- No, wiem który to. Strasznie cuchnie. □

- Tak, to ten sam. Widzisz, to nie jest Rumun. I kłamie z tą nogą, on ją ma. I cuchnie pewnie dlatego, że się czymś pryska, jakimś straszakiem na psy czy coś. Na co dzień tak nie śmierdzi. Kiedyś widziałam taką reklamę spreju odstraszającego w Mango i myślałam sobie wtedy o nim i że tej sprej pewnie strasznie cuchnie, jak on. □

- Jak to?! □

- No normalnie, sprej straszak na psy musi cuchnąć, bo przecież psy mają dobry węch. □

- Nie, no to to wiem, jak to nie jest Rumun? Przecież widzę. Ma ciemną skórę i w ogóle. □

- Mało widzisz, to naczelnik. Naczelnik PKP, on jest cwany lis, wiesz. Ja go raz widziałam po cywilu, to znaczy nie w przebraniu Rumuna, ale normalnie jako naczelnika. Ten sam nos i wzrok. Myśli, że będzie mógł mnie obsewrować i pisać raporty, że na czas nie zapalam światła w korytarzu albo że źle resztę wydaję podróżnym. A ja nie jestem głupia. Udaję, że nie wiem, o co chodzi, pozwalam mu tutaj spać i nie zauważam tego zapachu ze spreju. Pracuję tak, że nie ma się do czego przyczepić. Nieźle, nie? Ale nikomu nie mów, to tajemnica. Nie chcę, żeby ludzie niepotrzebnie głupoty gadali. □

- No, nieźle, chyba, nie powiem tego nikomu, to na pewno.

Znowu popatrzył na mnie wzorkiem, chwycił za swoją szklankę, i choć mia odpite dopiero do połowy, to przechylił ją jednym haustem i wypalił: □

- Muszę już iść, zaraz czwartą będzie, a ja nie mogę się spóźnić, jeszcze dziś szybko muszę do domu wrócić. No to ten, bardzo pani dziękuję, za herbatę i za wysuszenie teczek, będę leciał, dziękuję, do widzenia!

Powiedział to wszystko jednym tchem, te wszystkie słowa, chwycił mokrą teczkę z kaloryfera, zmiął kartki w kulę i wybiegł z mojego pokoiku. Bardzo dziwny, narwany chłopak. Spojrzałam na biurko. Zostawiłeś salceson! Ale już mnie nie słyszał.

To było jakoś trzy tygodnie temu, pamiętam, bo kiedy już wracałam do domu, w moim ogródku przy kamienicy zerwałam pierwszego tulipana i wstawiłam do wazonu a jak go wstawiałam, to zobaczyłam, że kartka z kalendarza nie jest zdarta, więc zdarłam i to było jeszcze w kwietniu. Było mi trochę wstyd, że pewnie wypłoszyłam tego chłopaka, znowu ktoś o mnie pomyśli: ta to ma nierówno wszystkie klepki umocowane, a to tylko przez to, że chciałam go jakoś udobruchać i uspokoić. W dobrym sensie, znaczy. A wazon to nie wazon, tylko normalnie, słoik po ostrej papryce. Takiej, jak lubię.

Nie jest lekko, o nie, bo ściany co prawda solidne i okna szczelne, w zeszłym roku wymieniali, ale z lauby niesie strasznie pogłos i wszystko słyszę, każdy szelest i zginanie reklamówki w torbie też. Mam dobry słuch, ale nie wiem po kim w mojej rodzinie, bo wszyscy raczej mają przeciętny. W każdym razie siedzę sobie tak w oknie i dumam i tylko sobie patrzę. Naprzeciwko mojego bloku stoi drugi taki sam, a nawet trzeci, czwarty i piąty, a na płocie zaraz za pasażem handlowym ktoś napisał dawno temu "Kosowo je serbija. Leon" i ja często się zastanawiam co autor miał na myśli

wymyślając takie zdanie, a na dodatek to jeszcze kiedyś miałam sen taki, że to napisał kot babki, właśnie też Leon. To nie byłoby możliwe, koty nie piszą, każdy to wie, ale taka zbieżność. Może kiedyś zjawi się tam człowiek od napisu to go zapytam, co miał konkretnie na myśli pisząc takie rzeczy. W każdym razie ja nie jestem na tak, nie popieram takich wandalizmów na starych, osikanych przez psy i ludzi płotach za pasażami.

Tego dnia w kwietniu nie siedziałam sobie ot tak, jak zawsze, w oknie, ale myślałam o tym chłopaku. Przestraszył się. Mały ten mój pokój a on był zmęczony i cały od tuszu. Pewnie też się przejął tym salcesonem i krępował się tak z obcą kobietą jeden na jeden o czwartej nad ranem. Trzeciej. Wpółdo czwartej. Jak go zobaczę w przyszłym miesiącu to przeproszę. Podejdę, rękę wyciągnę i zwyczajnie przeproszę. Tylko żeby się nie wystraszył drugi raz. Bo pomyśli sobie, co ta baba chce znowu ode mnie. Kto normalny wychodzi z swojego biurka o tej godzinie, żeby podać drugiemu rękę na przepraszam. No i jeszcze ta moja noga. To może przywołam go ręką do okienka. I wtedy powiem: "Przepraszam, w imieniu swoim i całej załogi PKP, nie chciałam cię wystraszyć ani tym bardziej zdenerwować". O tak właśnie zrobię.

Uśmiecham się. Powietrze jest ostre, świeże i zimne jak zimna woda w rzece. Sklepu jeszcze są pozamykane, ale koty już nie śpią. Czają się za murem na wróble, które przylecą kąpać się w maleńkich kałużach na moim zabłoconym podwórzu. Tak, jak codziennie, kocury nie utopiają żadnego ptaszka, ale nie zrezygnują też z przyjscia na polowanie następnego dnia. Wszystko ma swój porządek i myślę, że z gruntu wszystko jest takie samo, to znaczy każdy dzień jest taki sam, taki sam się narodził i tylko ktoś na górze przestawia różne klocki, małe i duże, żeby te dni się nie zlepiały ze sobą jak mokre kartki. Dlatego jednego dnia jem chleb z masłem i dżemem z pigwy a drugiego z miodem. Nie jem dwa razy tak samo pod rząd śniadań, żeby nie było nudno. Robię sobie dużo niespodzianek, choć posiedzenia w oknie do szóstej rano jeszcze sobie nie odmówiłam. Przyznam, że jak jestem chora, chociaż to bardzo rzadko się zdarza, to i tak siedzę sobie w moim okienku, w mojej domowej stróżówce i oglądam, co się na świecie dzieje. A że dzieje się jednak ciekawiej niż w telewizji, to telewizor wyrzuciłam na śmietnik.

Pamiętam bardzo dobrze jak to wszystko się odbyło. Tej nocy śnił mi się straszny sen. Leżałam na drewnianej platformie, takiej, jak ambona w lesie, ale bez dachu. Deski drapały mnie po łopatkach, drzazgi wchodziły pod skórę, ale nic nie mogłam zrobić. Platforma kołysała się w górę i w dół. Byłam pewna, że zaraz przechylili się do przodu i zsunę się z niej prosto w przepaść. Drzewa zaczęły rosnąć, były wielkie jak z innej ery. I pojawiła się woda, śmierdząca chlorem, zaszeleściła w gałęziach, rozlała się po całej powierzchni. Moja platforma stała się tratwą. Próbowałam w niej dopłynąć do drabinek na krawędzi, odpychałam się od czubków drzew, ale kręciłam się w kółko. Między głębinami widziałam jakieś zarysy morskich stworzeń, dziwnych, o oczach jak reflektory tirów. Ich płetwy ślizgały się po dnie mojej tratwy. Nagle, jedno ze stworzeń uderzyło w bok mojej tratwy i ją zupełnie rozsypało. Wpadłam do wody, a że pływam dość słabo (na basenie chodzę tylko na zjeżdżalni), szybko poszłam na dno. Robiło mi się słabo, ciemno, nie mogłam wydostać się na powierzchnię. Podpłynęła do mnie ogromna ryba. Zielona, z niebieskimi płetwami i otworzyła paszczę. Pocułam jej zęby na ramieniu i krzyknęłam. Obudziłam się złana potem i spojrzałam na swoje ramię. Leon podrapał mnie tam na śniadanie. Rzuciłam okiem na zegarek i doszło do mnie, że pierwszy raz w życiu zasnęłam do pracy.

Pani Alicja czekała na mnie cała zła i nerwowa. □

- Popiłaś? Dlaczego nie napisałaś smsa, nie zadzwoniłaś, że się spóźnisz? □
- Przepraszam – wysapałam czerwona – miałam straszny sen.
- Dobrze się czujesz? Może powinnaś iść do domu się wyspać co? □
- O nie, tylko nie spać.
- Już dobrze.
- Bardzo panią przepraszam, to się więcej nie powtórzy. Był naczelnik? □
- Nie, no coś ty, z pół roku go tutaj nie było. Dlaczego miałyby dziś być.

- Oczywiście, dziękuję. I Przepraszam. Do widzenia!

Akurat. Dzwon do mnie. Wiem, że na pewno zadzwoniła do naczelnika i powiedziała mu, że się spóźniłam, albo jeszcze lepiej, że piję w pracy. Już nie raz miałam z panią Alicją sytuacje, o których się głośno nie mówi, i wiem, że nie jest to człowiek, który mi dobrze życzy. Znajdę sobie na nią sposób później, trudno.

To był też taki dzień, że nie miałam za dużo do roboty, to znaczy nie więcej, niż zawsze, kiedy go znowu zobaczyłam. Pomachałam mu z okienka, ale mnie nie zauważył. Siedział, jak zawsze, na ławce pomalowanej na olejno i wgapił się w zegar. Nie mogłam do niego podejść, bo za dnia nie mogę opuszczać stanowiska pracy, jeszcze by mnie pasażer zobaczył i napisał skargę do naczelnika, że oddalam się w nieznanym kierunku a okienko puste. No to zrobiłam to, co mi przyszło pierwsze do głowy. Pochyliłam się do przodu, łokcie podparłam o biurko i powiedziałam głośno i powoli do mikrofonu: □

- Chciałabym serdecznie przeprosić pana w śliwkowych spodniach, że miesiąc temu, o czwartej nad ranem tak pana wystraszyłam i w imieniu własnym oraz całej załogi PKP życzę udanej podróży do dziadka.

Podskoczył na ławce i zagapił się na mnie jak słup z otwartymi ustami. Ja to czasami jak coś palnę, to nie wiadomo, ni w pięć ni w sześć. Poczułam, jak mi się robią czerwone policzki a on po prostu wstał i podszedł w moim kierunku. □

- Czy to było do mnie, proszę pani?

No i co miałam mu odpowiedzieć, sama nie wiem, co miałam, ale powiedziałam: □

- Tak. Przepraszam, nie chciałam tak głośno. Nie widziałeś mnie a ja machałam. □

- Nic się nie stało. Nie wystraszyła mnie wtedy pani. Chyba po prostu zrobił się wtedy dziwnie. Ale już wszystko w porządku. Napijemy się czegoś? Przyniosę z automatu. Mam dziś bardzo dużo czasu. Teraz ja otworzyłam buzię i musiałam wyglądać conajmniej głupio, ale powiedziałam: □

- Dobrze, ja lubię Fantę, jak będzie. A jak nie to obojętnie.

Wrócił zaraz, podszedł pod drzwi stróżówki i poczekał, aż mu otworzę.

- Dziękuję. Ale dziś gorąco, nie? Ma pani tutaj może lód? □

- Nie mam, nie mam nawet lodówki. Jak chcę coś sobie schłodzić, ale nie alkohol, bo nie piję, to puszczam zimną wodę w kranie na zapleczu i tak chłodzę. □ - To tak zrobimy. Poczekamy, aż Fanta będzie zimna, nie cierpię pić ciepłej. □

- Ja też.

Szukałam w głowie tego poprzedniego razu, co się widzieliśmy i szybko starałam się znaleźć dobry temat do rozmowy. □

- Byłeś u dziadka dzisiaj?

To chyba nie było dobre pytanie, bo zobaczyłam pomarszczone czoło pod długą grzywką. □

- Nie, nie byłem. Już nie będę do niego chodził. □

- Umarł? □

- Tak, umarł. □

- Przykro mi, bardzo.

Spojrzał mi prosto w oczy. □

- Pójdę po Fantę.

Niby mogłam wtedy zamknąć drzwi i udawać, że mam zajęcia, podlac jukę, spisać spis jakiś do pracy na następny dzień i nie słuchać dalej. Czułam, że rośnie mi gula w przełyku i że to nie będzie dobra historia, ale potem poczułam, że on bardzo chce. No to nie zamknęłam i wzięłam wdech.

Przyniósł nasze butelki i zobaczyłam, że oczy mu się świecą. Upił łyk i mówił dalej, bardzo szybko: -

Dziadek nie mieszkał na Przymorzu. Mieszkał przez ostatnie dwa lata w szpitalu na Srebrzysku.

Miał Alzheimra, nerwicę natręctw, schizofrenię. Mieliśmy ze sobą taki układ, że odwiedzałem go po kryjomu, bo nikt z rodziny nie chciał do niego jeździć. Ten cały szpital jest straszny i śmierdzi.

Dziadek jak był młody bronił budynku Poczty. Widział różne straszne rzeczy i one na starość go wciągnęły do siebie. Dwa lata temu zaczął mówić do nas jak do swoich kolegów z tamtych czasów.

Mietek, Rysiek, Wacek. Straciliśmy z nim kontakt. Zdziwaczał, chował się w szafie, krył jedzenie w ogrodzie. W końcu trafił do szpitala, bo nie chcieliśmy, by trafił do domu starców. Wie pani, dla moich rodziców to stary wariat, dla mnie dziadek. Fajny był zawsze, smażył marmoladę, frytki mi robił w papierowych tutkach z gazety.

- Lubię marmoladę i frytki.

Bo nie wiedziałam zupełnie, co powiedzieć. Jak się okazało, nie musiałam, bo w tym chłopaku siedziało bardzo dużo słów, co pewnie od dawna chciały się uwolnić.

- No i tak się z nim umówiłem, że będę do niego jeździł nad ranem. Stawałem na takim wzgórku, między krzakami, widac go było z tych wielkich okien. Jeden sygnał latarki to: czysto, nikogo nie ma. Dwa: biegnij. Dawałem mu sygnały, bo wiedziałem, że się tam w tym szpitalu boi. Był pewien, że znowy wybuchła wojna. Tyle mogłem dla niego zrobić.

Trudno jest mi dziś powiedzieć, czy rzeczywiście z nim miałam taką rozmowę. Czy to wszystko nie był sen. Może wszystko sobie wymyśliłam, w tej mojej głowie, bez sześciu klepek, po tym, jak tego kwietniowego dnia wstawiałam tulipana do wazonu, potknęłam się o Leona i upadłam. Nie miał kto mnie szukać, więc też nie miał kto mnie znaleźć. Przeleżałam dwa dni, ale wstałam. Wstałam i poszłam prosto do pracy, do okienka PKP Oliwa, na poranną zmianę, spóźniona, ale ze sporym kawałkiem salcesonu na śniadanie.